

tygodnik katolicko-narodowy dla stanu średniego.

W Poznaniu, dnia 23go Kwietnia 1880.

Wychodzi co Piątek.

Wydawca:
Wojciech Simon
w Poznaniu.

Przedpłata ćwierćroczna 3 złp. = 150 fen.,
pod opaską 3/4, złp. = 175 fen.
Ogłoszenia po 15 fen. od wiersza drobnego.

Redaktor:
Stefan Augustyn Drescher
w Poznaniu.

o POLSKIM LUDZIE.

przez Kornelego Ujejskiego.

Polski ludu! ty potężny!
Ty lirniczył ty orężny!
A łakący tak spokoju,
Tak jak chleba, tak jak zdroju:
Z ciebie świta przyszłość nasza!
Tyś jak przepelniona czasza,
Od dwóch wieków naléwana
Gorzkim jadem i piołunem —
Kielich pełny! Z twoich brzegów
Co już wkrótce się wyleje,
Nam zmęczonym a zwiątiałym
Poda miłość i nadzieję.

BURSZTYNY KASIA.

Obrazek ludowy w 5ciu odsłonach,

napisała Halina.

(Ciąg dalszy.)

SCENA IV.

Basia, później Cyganka, Wojciech i Janek.

Basia (wbiega szybko).

Boże! pojąć nie mogę co się dzieje. Janek opuścił mnie zupełnie, zostawił samą, i dla kogo? dla tej obcej, nieznannej dziewczyny! Z nią tylko tańczy, jęj tylko śpiéwa, a ja drzę gniewem i złością. Mnie, córkę bogatego gospodarza — mnie, znaną z bogactw i urody, zostawić dla przybłędy jakiejś, która za całe bogactwo ma sznur bursztynów na szyji! Zkąd się tu wzięła, jakich użyła czarów, aby uwięzić Janka? Tak się cieszyłam na dzień dzisiejszy — myślałam, że stałość moja przełamie jego obojętność, że mie pokocha, a tymczasem (wbchodzi stara Cyganka, a niedostrzeżona przez Basię, słucha jęj monologu), a tymczasem, rozwiały się moje nadzieje! Naprózno więc kocham go od lat tylu, naprózno staram się o jego

serce, które on, niewdzięczny! oddaje innęj. O! jakże jęj nienawidzę!

Cyganka.

Któż to jest przedmiotem twęj nienawiści, piękna koteczko?

Basia (przestraszona).

Cóż to? podsłuchujecie mnie?

Cyganka.

Zkąd zaś? — Ot po prostu widzę krasawicę zamajającą ręce — żal ścisnął mi serce i mówię sobie: „pomódz jęj muszę.“

Basia.

Nie zwodzisz mnie?

Cyganka.

Daj twą rękę, piękna dziewczyno — z nięj powiem powód twych łez i powrócę ci nieco. (Basia podaje rękę — Cyganka patrzy uważnie i mówi zwolna) Serce twe zranione, biedna gołębeczko — zranione ciężko obojętnością ukochanego.

Basia (z cicha).

Zkąd ona to wiedzieć może?

(W głębi ukazuje się Kasia tańcząca z Jankiem — cyganka spogląda uważnie na nich, potem na Basię).

Cyganka (do siebie)

Wiém już, kto odebrał jęj serce kochanka — ale ta dziewczyna z bursztynami na szyji dziwnie mi znajoma (patrzy ciągle na rękę Basi — po chwili do siebie) a, wiém już, to ona! zanadto podobna matce, aby jęj nie poznać; a potem te bursztyny! (do Basi). Oczy twe w łzach toną, krasa znikła z lic świeżych, a wszystkiemu temu winna obca, która czar rzuciła na ukochanego twego.

Basia.

Co mówicie! czary rzuciła na niego? I ja to myślałam, ale ksiądz z ambony zakazuje wierzyć czarom i urokom.

Cyganka.

Nie słyszałaś to jeszcze o oczach, rzucających urok, na kogo spojrzą? O, wierz mi, wierz dziewczyno — dawno ja żyję na świecie i znam rzeczy nieznanne innym. Powiedz słówko, a dam ci sposób pozbawienia uroku bladęj tęj dziewczyny z żółtymi koralami.

Basia.

Mówcie, mówcie szybko — dam, co zechcecie (wciska Cygance pieniądz w rękę).

Cyganka.

Czar jej nietylko w oczach, ale i w koralach spoczywa — w bursztynach, z którymi nie rozłącza się nigdy. Weź je, jeżeli potrafisz, chociażby na dzień jeden — a Janek w twojej będzie mocy. Gdy i to nie pomoże, powiem ci tajemnicę, która w ręce twoje odda młodą dziewczynę (nachyla się i szeptem jej tajemniczo do ucha).

Basia (odskakuje z przerażeniem).

Niepodobna!

Cyganka.

Widzę z ócz twych, że mądrą jesteś — będziesz wiedziała, jak sobie postąpić. Zużytkuj, co ci powiedziałam, a Janek wróci do ciebie.

(Nadchodzi Wojciech z Jankiem — w głębi widać Kasię).

Basia.

Uchódźcie — jutro wieczorem w ogrodzie czekać was będę, opowiecie mi resztę.

Cyganka (odchodząc, patrzy nienawistnie w stronę Kasi).

Ha! zemściłam się wreszcie! Za matkę odpowię córka!

SCENA V.

Basia, Wojciech.

Janek (do siebie).

Chciałbym wiedzieć, czego chciała tutaj ta czarownica? Z le jej patrzyło nieszczęście.

Wojciech (z przymileniem do Basi, wskazując Janka).

Otóż syn mój, Basiu, prosi cię w taniec. (Janek bierze ją niechętnie i oddalają się.) Czy bielmo ma na oczach ten smarkacz — wypuszczać z rąk wór pieniędzy z ładną dziewczyną w dodatku? Ale od czegoż ja? — nie dopuszczę rozłączenia — musi się ożenić z Basią, a ja pozbędę się Fryca i będę panem w jego zagrodzie.

(Zastona spada).

(Odsłona II).

SCENA I.

Janek, Kasia.

(Na prawo widna chata wieśniacza z ławką przede drzwiami — na lewo wśród drzew studnia. Janek przed chatą rąbie drzewo pośpiwując, Kasia z dzbankiem na głowie zbliża się do studni i pochyla dla nabrania wody.)

Janek (zbliża się).

Pozwól, Kasiu, pozwól najdroższa, posłużyć sobie (odbiera z jej rąk dzbanek).

Kasia.

Dziękuję ci, Janku, za twe dobre chęci, ale pospiesz się, bo nie mam czasu.

Janek (napełniając dzbanek).

Ej! znajdzie się chwilka na pogawędkę ze mną. Nie oddam dzbanka, dopóki na wczorajsze nie odpowiesz mi pytanie.

Kasia (sięgając po dzbanek).

Ale dajże, daj, figlarzu — nie mam czasu — pani czeka.

przaniek.

Żartujesz, Kasiu, z ócz widzę, że żartujesz — to też nie puszcę cię, aż nie powiem, że cię kocham, że od pierwszej chwili podbiłaś me serce, i dopóki nie usłyszę odpowiedzi.

Kasia.

A ja słowem twym wierzyć nie mogę.

Janek.

Dla czego, najdroższa?

Kasia.

Czyż tego samego nie mówiłaś Basi?

Janek.

Knę ci się na wszystko, że Basi nigdy o miłości nie mówiłem.

Kasia.

Czyż nie tańczyłaś z nią wczoraj, nie spoglądałaś na nią czule?

Janek.

Tańczyłem, dopóki nie widziałem ciebie, Kasiu moja, bo odtąd znikły dla mnie wszystkie dziewczęta na świecie.

Kasia.

Przestań, Janku — słuchać cię nie powinnam (chce odchodzić) i, dla czegoż łudzisz mnie biedną, kiedy wiem, że Basię masz pojąć za żonę?

Janek.

Nigdy! (chce ją objąć — Kasia się usuwa) Nigdy Basia moją żoną nie będzie. Prawda, że rodzice nasi życzą sobie tego, ułożyli to oddawna, ale ja Basi nie kochałem nigdy, a wczoraj tańczyłem z nią tylko dla zadowolenia rodziców. O! Kasiu — powiedz, że mnie kochasz, że chcesz być moją!

Kasia.

Nie, Janku — nie sprzeciwiaj się rodzicom, którzyby nie przyjęli za córkę biednej sieroty bez wiana.

Janek.

O tém potem, a teraz powiedz mi — o powiedz, jedyna, czy serce twe nie odwraca się odemnie (Kasia milczy). Milczysz? — czyż to znaczy, że mnie odpychasz? Słówko, słówko powiedz jedno, bo ty nie wiesz, jak mi jesteś drogą!

Kasia.

Więc ja nie śnię? — więc to prawda, że ty mnie kochasz, że ty, najpiękniejszy, najbogatszy z wioski całej, mnie ubogą chcesz za żonę pojąć?

Janek.

Kasiu, Kasiu moja, czy jesteś mi wzajemną, oddasz mi serce twe?

Kasia (po cichu).

Już ci je oddałam!

Janek (z uniesieniem).

O! najdroższa (przyciska ją do siebie — z chaty słychać wołanie: Janku, Janku! i Wojciech wychodzi).

Kasia (wysuwając się z objęć Janka).

Idź, Janku, idź — ktoś cię woła.

Janek.

Słyszę głos ojca; (głośno) idę, zaraz idę (do Kasi) słówko jeszcze, Kasiu droga — czy nie zapomnisz mnie nigdy?

Kasia.

Nigdy — śmierć chyba odbierze ci serce moje! Idź — zostaw mnie samą — niech przywyknę do szczęścia mego.

Janek (biorąc jej rękę).

Bądź zdrowa! (oddaje jej dzbanek i zwraca się ku chacie — Kasia w przeciwną odchodzi stronę).

SCENA II.

(Wojciech siedzi przed chatą na ławie, Janek zbliża się i podnosi porzuconą siekiere, później Małgorzata).

Wojciech.

Położ robotę, Janku — chciałbym pomówić z tobą.

Janek (opiera się o drzewo).

Słucham, ojcze.

Wojciech.

Coś bałamuciłeś się, chłopcze, na wczorajszej zabawie.

Janek.

Jakto, ojcze?

Wojciech (figlarnie).

No, no, mój chłopcze — wiesz ty dobrze, o czém ja mówię, ale to nie szkodzi — i ja za młodu lubiłem głowy dziewczętom zawracać — ale nie godzi się zapominać o dawnych przyrzeczeniach.

Janek.

Nie rozumiem cię, ojcze.

Wojciech.

Już my się rozumiemy, (mrugając figlarnie) a ta obca dziewczyna, którą przywiozła dawna nasza dziedziczka, pani Wiślicka?

Janek.

Mylisz się, ojcze — nie bałamuciłem ja Kasi, aby ją porzucić później, ale aby się z nią ożenić (schyla się do kolan ojcowskich), i o tém właśnie chciałem ci oznajmić, ojcze, i prosić o błogosławieństwo.

Wojciech (z gniewem).

Co, co mówisz? (hamuje się) ej! nie żartuj sobie z ojca!

Janek.

Mówię prawdę.

Wojciech.

Czyż zapomniałeś, że masz być mężem Basi, że to rzecz ułożona oddawna?

Janek.

Pomiędzy rodzicami, ale nie pomiędzy nami, bo ja Basi nie kochałem nigdy i za żonę jej nie pojme.

Wojciech (powstając).

Przezań — zapominasz, że mówisz do ojca.

Janek (całując go w rękę).

Nie, ojcze, nie zapomnę nigdy winnego ci szacunku i miłości, ale tu nie mogę ci być posłusznym. Basia kłótniwa, strojnisia, leniwa i złośliwa, żoną moją nie będzie.

(Wbiega Małgorzata z krzykiem i lamentem, trzymając gęś nieżywą na ręce.)

Małgorzata.

Mężu, mężu! o dla Boga! ja nieszczęśliwa! a żeby go lichy wzięło! a żeby mu się w niczém nie wiodło! a żeby...

Wojciech.

Cicho, cicho, kobieto — cóż się stało?

Małgorzata.

Patrz — mą śliczną, siodłątą gąskę, najlepszą z wszystkich, najrychlej niosącą jajka, zagryzł pies niegodziwego Fryca. Wczoraj szczuł jałówkę — dziś zagryzł gęś — jutro... a jak tu się nie gniewać, jak nie przeklinać?!

Wojciech.

Uspokój się, Małgosiu — gęsi mu nie darujemy, a da Bóg i jego się wkrótce pozbędziemy.

Małgorzata.

Co mówisz? czy podobno?

Wojciech (zwracając się do Janka).

Od ciebie zależy, aby własność Fryca nasza była — ożeń się z Basią, a za jej wiano wykupimy sąsiada.

Janek.

Trudno, ojcze!

Małgorzata.

Jakto? ty nie chcesz Basi! Nie wiem, kogo pragniesz, gdy pogardzasz najpiękniejszą, najbogatszą dziewczyną.

Janek (biorąc rękę matki).

Czy i ty, najlepsza matko, chciałabyś córkę, któraby nie szanowała twych siwych włosów, jak nie szanuje ich u własnych swych rodziców?

Wojciech.

Bredzi chłopak, bo zbałamuciła go inna; ale nie z tego! Jakem Wojciech, tak ta obca, ta przybędła twoją nie będzie.

Małgorzata.

Wielki Boże! Janku, co słyszę? nad Basię przekładasz tę obcą bezwstydną dziewczynę, co rzucając na ciebie urok, podstępem, wkradła się w twe serce? — tę córkę czarodziejki!

Janek.

Matko, przez litość cofnij te słowa!

Małgorzata.

Nie cofam — wieś cała mówi już o tém.

Janek (z uniesieniem).

I cóż ztąd — matka mogła zbłądzić, a córka czystą i niewinną pozostaje. Czyż za winy rodziców mamy karać dzieci?

Wojciech.

Czary — widoczne czary. Ale ja przełamie twój upór i jutro ślę swaty do Basi.

Janek.

Nie rób' tego, ojczu — Kasi nie odstąpię za nic w świecie.

Wojciech.

Precz, precz, dziecko wyrodne — nie pokazuj mi się na oczy z tą kochanką twoją (wchodzi do chaty).

Małgorzata (idąc za nim).

Z tą czarownicą, bo korale, które nosi zawierają moc nieczystą.

(Janek osłupiały załamuje ręce — zasłona spada).

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Pan Ogiński.

Za dawnych czasów szlachcic z cierpliwością i statkiem mógł zawsze sobie kawałek chleba zapewnić. Służba po pańskich dworach krzywdy nie robiła: pan był razem opiekunem sługi; a jeżeli jak ojciec karał, to i jak ojciec kierował, i o losie pamiętał. Ale nie każemu dostać się można było do pańskiego dworu: trzeba było mieć zasługi ojca lub krewnych za sobą, albo jakichś dobrodziejów, coby się chcieli wstawić. Co do mnie, Opatrzność mną kierowała. Bo cóż mówiło za mną? Ojciec mnie odumartł przy piersiach, a gdyby i żył, szlachcic z zaścianku, spokojny, kawałka roli pilnował; gdzie prostaczkowi docisnąć się do pana! Moja matka powtórnie poszła za męża, ojczym niebardzo był rad trzymać mię w domu, będąc ubogim a własnych doczekawszy się dzieci; ale Pan Bóg sieroty nie opuszcza. Miałem wuja woźnego, on miał dworek i ogród w Nowogródku; a chociaż miał dwoje dzieci, zlitował się nademną i zabrał mnie z zaścianku do Nowogródka, kiedy siedem lat mi się skończyło. To ja potem wyszedzszy jakoś na człowieka, jego dzieciom, choć w części przynajmniej, wywiązałem się z tego com był winien ich ojcu, a moję niewielką pomoc Pan Bóg tak błogosławił, że wnuki mojego wuja kłaniają się ludziom z grzeczności i z serca, a nie z potrzeby. Wuj żył z woźniostwa, i codzien jaki tyńf kapał, a czasem i czerwony złoty w domu się pokazał. Wujenka studentów trzymała. Ja, to buty dyrektorem czyszcząc, to w kościele z bractwem śpiewając, to w ogrodzie pieląc, z małego do pracy nawykłem: co mnie potem bardzo posłużyło. Dyrektor u nas z studentami mieszkał, a sam był studentem w czwartej klasie. Wyuczył on mnie czytać i pisać, tak że księża Jezuiti przyjęli mię wprost do *infimy*, nie przechodząc *proformy*. Uczyłem się najprzód z książki pana dyrektora, ale potem wujenka kupiła mi Alwara, i już swobodnie uczyłem się ze swego, i gorliwie; bo codzien mnie wuj mówił: Sewerynku, ucz się, ty nie masz nad czem próżnować. Pókiś mały, ja ci daję banicz i opończę; ale jak wyrośniesz, czego nie wypracujesz, chyba wyżebrzesz. — To ja tak się boję, aby dziadem kościelnym nie zostać, że uczę się, a uczę Alwara na pamięć, aż płaczę, tak

że przed wakacjami na *gramatykę* uzyskałem promocyą. Później nasz dyrektor wstąpił do zakonu, a ja na jego miejsce dyrektorem zostałem, i brałem po trzydzieści tyńfów na kwartał. Wkrótce z własnej pracy przyszedłem do kontusika gredyturowego, dymowego żupnika i pasa półjedwabnego, a pałasz po ojcu oddał mi wuj, że jakoś w Niedzielę można było uczciwie pokazać się między ludźmi. I wujaszкови chleba już darmo nie jadłem, bo przepisywałem mu relacye pozwów, przez co zawczasu przywykłem do prawa; a że z *retoryki* do Palestry nie poszedłem, to dla tego, że następne wydarzenie na inny świat mnie zaniosło.

Jezuici w Nowogródku od dawna byli zaprowadzili sodalisostwo Maryi: byłem i ja sodalisem, i do dziś dnia odprawiam pacierze z pallacium. Po śmierci księcia Radziwiłła, ordynata Kleckiego a Trockiego kasztelana, prefektem kongregacyi został JW. Ogiński, wojewoda Witebski; a ksiądz rektor w nagrodę, zem pracował i zasługiwał się profesorom, mianował mnie marszałkiem kongregacyi: bo nas było dwóch marszałków, jeden z konwiktu, a drugi ze stancyjnych. Nasz obowiązek był nosić laski przed prefektem, i stać przy nim w czasie nabożeństwa. Kiedy JW. wojewoda przybył do Nowogródka w dzień Wniebowzięcia Najświętszej Panny, z wielką solennością oddali mu OO. Jezuici prefekturę kongregacyi. Ja, jako marszałek, wystąpiłem do niego z mową łacińską, którą sam ułożyłem, bo trochę tylko ją poprawił ksiądz Narwojsz, profesor retoryki, a nauczywszy się jej na pamięć, wymówiłem ją śmiało i z dobrą (jak ludzie mówili) deklamacyą, tak że zaraz wpadłem w oko JW. Wojewodzie. Wypytał się o mnie księdz rektora, który, jak się pokazało, dobrze mnie przed nim wystawił. Potem, po nabożeństwie, kazał mi przyjść do siebie, wybadywał, co umiém, i kazał mi pisać, aby się dowiedział, czy mam dobrą rękę. Napisałem mu kilka wierszy Kochanowskiego, a niżej po łacinie, że JW. Wojewodzie było imię Bogusław, dodałem z własnego konceptu: *Ingentem Boguslav defero cultum, a me minimo excelsus tibi honor*. To mu się tak podobało, że posłał po mojego wuja, i powiedział mu, że chce mnie umieścić w swoim dworze. Na te słowa, i mój wuj i ja padliśmy mu do nóg, i zaraz, już za pozwoleniem mojego pana, poszedłem z wujem zabierać moję mizeryą i pożegnać się z wujenką. Nie obeszło się to bez łez, szczególnie z mojęj strony, bo dwa razy rozplakałem się: raz z czułości, drugi raz z bólu. Wujaszek dając mi błogosławieństwo i cztery czerwone złote w podarunku, powiedział te słowa: Sewerynku, staraj się o trzy łaski. Po pierwsze o łaskę Bozką, powtóre o łaskę pańską, po trzecie o łaskę ludzką. Wszystkie moje opiekuńskie prawa zléwam na JW. Wojewodę, pana twojego, i abyś służąc jemu nie zapominał, jaką jest władza opiekuńska, ostatni raz jej użyj. — Kazał mi się położyć i trzydzieści batogów mi odliczył, których nigdy nie zapomnę, tak szczerze były dane. Dobrze tedy zapłakany wróciłem do klasztoru, gdzie stał JW. Wojewoda, który widząc łzy, miał je za dowód czułego serca, chociaż one nie były jedynie z czułości.

Rozkazał Wojewoda podróżnemu koniuszemu, aby dał mnie konia, na którym kazał mi jechać przy swo-

jék karecie. Lubo oprócz wujowskich dwóch podjezdaków, co je czasem bywało pławić wodzę, nigdy nie zdarzyło mi się siedzieć na koniu, zwłaszcza porządnym; jakoś ze krwi polskiej dobrze mi się udało. Bo kiedy wyjechawszy już o ćwierć mili za miastem opatrzył się JW. Wojewoda, że okularów zapomniał w klasztorze, zawróciłem konia, wypuściłem go ku miastu, piorunem stanąłem na dziedzińcu klasztornym, szkodę odszukałem, zatrzymałem się nawet przez pół Zdrowaś Marya pod ratuszem dla kupienia obwarzanków, i wróciłem do pana, okulary w rękę trzymając; a pan za to darował mi tego samego konia, na którym miałem szczęście pierwszą posługę mu zrobić. Przybywszy do Słonima, gdzie często JW. Wojewoda jako Starosta Słonimski przesiadywał, kazał zawołać P. Szukiewicz, Marszałka dworu swego (co go na ówczas tytułowano Łowczym Wendeńskim, a który umarł Podstarostą Słonimskim), oddał mnie pod jego dozór jako pokojowego, a razem oświadczył, że w jego prywatnej kancelaryi pracować będę. Pan Łowczy Szukiewicz był starożytny szlachcic, i miał dwa folwarki swoje dziedziczne w Słonimskiem; był powiernikiem pana, który go często nawet do publicznych używał interesów, jako męża światłego i sumiennego, a liczny dwór on w wielkim rygorze umiał utrzymać. Naznaczono mi lafy po trzysta tynfów na rok, obrok na jednego konia, stancją z dwoma innymi pokojowcami obywatelskimi synami, i miejsce u stołu marszałkowskiego. Był zwyczaj u dworu, że przyjętego szlachcica na pokojowego, Marszałek oporządzał w mundur przyjacielski domu Ogińskich: kontusz z sajety perłowej, żupan atłasowy zielony, pas takiż jedwabny z kwiateczkami i frendzlami złotemi, czapka zielona z kasztanowatym barankiem i czerwone buty. W tym stroju trzeba być zawsze na pokojach, a ten ubiór nadal utrzymać ze swojego. Ale na wstępie musiałem oblać ów mój mundur traktamentem dworzan i pokojowych, tak że ze czterech czerwonych złotych co mi wuj dał, zaraz trzy poszło.

Poznałem więc zblizka dwór magnacki i prędko się służby nauczyłem, a między dworzanami i pokojowymi będąc najuboższym, bo oni wszyscy byli obywatelskimi dziećmi, niektórzy zaś i sami obywatelami: zasługiwałem się każdemu, i uzyskałem łaskę ludzką, zaczynając od P. Łowczego Wendeńskiego, który często sypał plagi na kobiercu moim kolegom, a na mnie się nigdy ani skrzywił. Nawet lubo jako ojciec dzieciom był oszczędnym, darował mnie pas lity słucki, którego i senator nie powstydziliby się nosić. A to za to, że razu jednego będąc z nim w Stołowiczach na kiermaszu dla kupna sukien na liberyą dworską, gdy jeden towarzysz pancerny chorągwi JW. Księcia Sapiehy, Wojewodzica Trockiego, stojący tam na konsystencyi, przyczepił się do niego i zaczął w mojej przytomności szukać z nim okazji, ująłem się za moim zwierzczeni-kiem. Zacząłem był od perwazyi, ale on zapamiętały zuchwalstwem nie poprzestał swego i jeszcze natarczywiej lazał mu w oczy. Ja, lubo towarzysz pancernego znaku więcej niż pokojowy, żem znał siebie szlachcicem, choć chudym pacholkiem, a do tego czułem, że trzymając się wielkiej klamki miałem plecy — dalejże do szabli na gołe łby. Noszę od niego pamiętkę

na twarzy, ale i on porządnie dostał po ramieniu! Pan Łowczy zawsze miał na uwadze, żem jego sławę zasłonił, i tak i sam guza oberwałem: dobrze mię za to wystawił przed panem. Zjednało to mi wziętość i u moich kolegów; widząc bowiem mię potulnym a pracującym piórem, myśleli długo, że szablę miałem tylko dla ozdoby, ile że postanowiwszy sobie nigdy u dworu burdy nie robić, często przytyczki od nich cierpliwie znosił: ale kiedy gruchnęło, że pancernikowi dać radę, nie było to dla mnie porwać się z motyką na słońce: zacząłem być u nich w poważeniu jako człowiek spokojny z przekonania a nie z bojaźni.

(Dokończenie nastąpi).

OBRAZKI Z PRZYRODY.

Nasz niedźwiedź.

(Dokończenie.)

Łowy na niedźwiedzie należą zawsze do niebezpiecznych dla myśliwych, chociaż spotkanie z dzikiem dla niektórych ma być niebezpieczniejsze. Ztąd też od dawna powstało u nas przysłowie: „Jak idziesz na niedźwiedzia, gotuj łóżko, a na dzika, mary.“ Szczególnie groźną jest niedźwiedzica, broniąca młodych. Polowanie na niedźwiedzie odbywa się albo z psami, albo z naganą lub sięciami i żelazami lub wreszcie w upatrzonym legowisku. W rozwałitych krajach rozmaite istnieją sposoby u ludu polowania na niedźwiedzie. Inne są np. w Uralu, inne u Kamczadalów i Lapończyków, a odmienne u nas. O tych wszakże wspominałem już powyżej. Że łowy dawniej były u nas sławne, wiemy to bądź z tradycyi bądź z opisów. Łowiectwo były dla młodych wstępną szkołą do bohaterkich czynów, a dla starszych szlachetną rozrywką. To też oddawna jest myśliwstwo jednym z głównych odcieniów życia naszego wiejskiego. Co do sposobów i uwag dotyczących się łowów na niedźwiedzia, odsyłam ciekawych czytelników do *Łowca*. Cenne znajdują się w tym względzie tam artykuły jak:

a) A Barthelsa: O niedźwiedziach na Litwie, o Polesiu, Poleszukach i polowaniu r. 1878 str. 138—153.

b) Polowanie na niedźwiedzie w Karpatach przez K. hr. Wodzickiego r. 1879 nr. 5.

c) Opis niedźwiedzi (głównie według Brema, Łozińskiego).

d) Myśliwstwo z XII. wieku w Polsce, opisane w powieści Kraszewskiego p. t. „Bracia zmarłychwstańcy“, podane też w *Łowcu*.

e) Łowy w Polsce, do XVII. wieku przez W. A. Maciejowskiego.

f) Wspomnienie K. W. Wójcickiego o Niedźwiedniku.

g) Rok myśliwca, przez W. Pola.

Półów na niedźwiedzie nietylko wyrabia w myśliwym siłę, odwagę i zimną krew, której mu zawsze tak wielce potrzeba, lecz przynosi jeszcze tę korzyść, iż wybijając drapieżnego rabusia, ochraniaemy pożyteczne zwierzęta, które stają się pastwą nienasyconej żarłoczności. Także i bezpośredni mamy z niedźwiedzia

pożytek. Futro niedźwiedzia płaci się w handlu 12—30 talarów, a cena zawisała od wielkości skóry i barwy włosów. Futro czarne jest najdroższe. Huculi sprzedają skórę niedźwiedzia od 8—20 złr. Mięso niedźwiedzie da się jeść, łapy niedźwiedzia uchodzą za przysmak, a tłuszczu używa lud na swe leki domowe.

Nakoniec wspomnieć muszę, że niedźwiedź zakłada sobie na zimę zwykle w Grudniu pod pniami lub w debrach i jaskiniach leże, zwane gawrą, i zapada w głęboki sen. Samica zalega wcześniej od samca, niekiedy już w Listopadzie. Podczas snu nie przyjmuje on pokarmu, tylko w czasie odwilży szuka, według Brehma, wody do picia. A i Pol pisze, „że w styczniu nie wytropisz niedźwiedzia, bo w mateczniku lub w odstępnie zawalnych lasów siedzi on w swojej gawrze, od której dwie tylko krótkie, wydeptane prowadzą ścieżki: jedna do wody, druga na bok.“

Podobnie jak nietopérze, borsuki i inne zwierzęta, zapadające na sen zimowy, żyją podczas snu nagromadzonem tłuszczem swego ciała, tak też i niedźwiedź odżywiając się przez 2—3 miesiące a czasem i dłużej własnym tłuszczem — nie dziw — że wychodzi z leży z końcem Marca lub w Kwietniu wychudły i nędzny, z nową u podeszwy nóg skórą, która w Lutym mu się odnawia. Zlizując zaś starą, dał powód do mówienia, że ssie swe palce. Chociaż w Lutym jeszcze niedźwiedź leży w swęj gawrze, to jednak budzi się on w tym miesiącu ze snu twardego, który trwa przez 2 miesiące, u samca przez Grudzień i Styczeń. Nie daremnie więc podaje tradycya, że na Gromnicę rozwała niedźwiedź bude, jeżeli mróz tęgi, a poprawia i okrywa ją, jeżeli odwilż i łagodne powietrze. Interesującym dla leży zimowej niedźwiedzia jest opis polowania podany w *Lowcu* przez W. Rowlanda, nadleśniczego w Arwie.

Dnia 3go Lutego r. 1878go zeszedł się gajowy lasów arwańskich w Węgrzech, Hnilica, w skalistej dolinie gór Tatrów przypadkiem z dwoma strażnikami lasów sąsiednich, braćmi Germkami. Jeden z Germków podał myśl udania się wspólnego do niedalekiej skalistej jaskini, w której przed trzema laty w porze snu zimowego ogromny niedźwiedź był zabity. Po dłuższej naradzie puszczono się wreszcie w drogę i po trzechgodzinnym pochodzie przybyli wreszcie w pobliże znanęj jaskini.

Opodal jaskini wstrzymano się przez chwilę dla odpoczynku, posilenia się i dla ułożenia pewnego planu i świeżego nabicia strzelb kulami i siekańcami. Tak uzbrojona trójka ruszyła dalej, a będąc u celu wyprawy, spostrzegła, iż do jaskini wyniesionęj na 4—5 sążni po nad poziom, prowadzi wzdłuż prostopadłej, skalistej ściany ścieżeczka wielce niebezpieczna, 1—2 stóp szeroka, a prawie 10 sążni długa, wtedy poczęli nasi zuchwali myśliwi chwiać się w powziętem postanowieniu. Gdy młodszy Germek jednak objawił chęć przekonania się naoczno, czyli jaskinia jest opróżnioną lub zamieszkałą, zachęcono go do tego przedsięwzięcia i Germek dostawszy się po groźnej ścieżce do otworu jaskini, z przerażeniem niemałem dostrzegł, iż śnieg przed nią prawie stajał, prawdopodobnie od ciepłych wiewiów, wychodzących z jaskini od jęj mieszkańców.

Spostrzeżenia tego udzielił swoim towarzyszom, dodał wszakże, że jaskinia zdaje mu się być opróżnioną. Zachęcony tą uwagą starszy Germek wdrapał się również aż do otworu i obaj stanęli gotowi do strzału, a starszy Germek wsunął jeszcze długą tykę do ciemnej jaskini, grzebiąc dokoła. Wnet odezwały się z niej mruczenie starego niedźwiedzia i pisk młodych. Niedźwiedzica chcąc się dowiedzieć o przyczynie tego zaniepokojenia, wychyliła głowę z jaskini, a myśliwi przestali jęj na powitanie z 4 luf grad kul i siekańców.

W tej chwili chwyciła rozgniewana niedźwiedzica jednego z Germków rękę w swoją paszczę, lecz jakimś szczęśliwym wypadkiem udało mu się wyrwać ją, w dwóch miejscach od kłów ciężko skalęczoną, tak iż w paszczy srogiego zwierzęcia strzelba pozostała. Rozjuszona wypadła z jamy i rzuciła się nie ścieżką, lecz na łeb na szyję w śnieg głęboki tuż obok przerażonego Hnilicy. Przez chwilę cały przód niedźwiedzicy był w śnieg zagrzebany. Hnilica, strachem jakoby gromem porażony, nie użył ognistej broni, dopiero gdy się ze śniegu wydobyła i całym poćciem mu się okazała, posłał jęj z obu luf kule, jak się zdawało, bezskutecznie, niedźwiedź bowiem z groźnym mrukiem, farbując jednak, poczwiałował i zniknął. Gajowi przerażeni całym tém zdarzeniem nie mogli z powodu głębokiego śniegu wśród stromych, skalistych gór iść daleko za postrzelonym zwierzem, postanowili przeto wybrać z jaskini młode niedźwiadki i zabrać je z sobą do domu, czego też szczęśliwie dokonali. Dwa niedźwiadki były jeszcze ślepe i mogły mieć zaledwie trzy tygodnie. Przychodzą one na świat zadziwiająco małe. Mój samczyk (kupiłem go bowiem od gajowych, drugiego zaś szef stacyi kolejowęj w Kraloven) nie przechodził wielkości czterotygodniowego szczenięcia, lecz czaszka i łapy o wiele były szersze. Barwy był kasztanowato-brunatnej, a na szyi miał obwódkę, u grzbie-tu i piersi niezupełnie zamkniętą i rozszerzającą się w kształcie dwóch trójkątów. Wielkich nadziei misio, którego natychmiast fłaszeczką z rozcieńczonem mlekiem krowiem karmiono, urósł znacznie i ważył 20. Lutego już 2.07 klgr., długość jego ciała wynosiła 36 centim. Przejrzał 16. Lutego, a 22. pokazał się pierwszy kieł.

Gazeta Nar.

L. Wajgiel.

Pamiętniki Starego Żołnierza,

napisane przez

Białyniaka.

(Ciąg dalszy).

Gdy nasz stangret Jacek przyjechał kareta, przyszedł do koszar, według mojego rozkazu, że kareta już stoi a konie są już napasione, kazałem zaraz zaprządz i zajechać po siebie do koszar. Zaraz ubrałem się po cywilnemu, wpakowano mój kuferek, zaś usiadłem i odjechałem do klasztoru. Gdy tam zajechałem, zapytałem się o Rózię. Zakonnica odpowiada mi, że Rózia jest na rekolekcyach. Zadziwiło mnie to niemało, zapytałem ją: za co ona ma odprawiać rekolekcyje? Odpowiedziała mi, że Rózia poświęca się stanowi zakonnemu, że zostanie zakonicą. Osłupiałem na to i rzekłem,

że to być nie może, że ją zaraz zabieram ze sobą do domu, a co się słusznie należy zakonowi, zapłacę zaraz za jej tu ukrycie i pobyt. Ta mi odpowiada, że ona nie odjedzie, bo już się zupełnie poświęciła zakonowi.

— To być nie może, ona jest namówiona, albo zmuszoną.

Wtém wpada Przełożonażi prawi mi to samo; wzruszony niecierpliwością chcę się koniecznie z nią widzieć, ale mi zakonnice nie chcą pozwolić; rozpacz przywiodła mnie do wściekłości. Naprzód zacząłem się ich prosić, potem się z nimi przemawiać, że oddałem im Rózię do tymczasowego schronienia, a oni mi ją do obleczenia habitu namówili. Widzę, że wszystko nie pomaga; zacząłem krzyczeć i mocno pięścią tłuc o stół, tak że wszystkie zakonnice wylękły i zaczęły uciekać, tylko sama przełożona pozostała przy mnie. Widząc, że ja się znajduję w okropnej rozpacz, zaczęła mnie reflektować, żebym był cierpliwym i czekał, aż ona odmówi przeznaczone sobie modlitwy, poczem mogę się z nią zobaczyć. Tą obietnicą pocieszony, uspokoiłem się, postanowiłem czekać w milczeniu. Przełożona wyszła zostawiając mnie samego. Po chwili powraca i prosi mnie do oratoryum za sobą. Zbliżamy się do oratoryum, gdzie są zamknięte drzwi szklane. Tam stanęliśmy razem z przełożoną przed samymi drzwiami. Patrząc, Rózia klęczy i modlitwy odprawia przed ukrzyżowanym Zbawicielem, mając ręce również rozkrzyżowane. Po chwili uderzyła czołem o ziemię, a ucałowawszy ją, potem po trzykroć uderzywszy się w piersi, przeżegnała się i powstała, a pokłoniwszy się raz jeszcze odwróciła się ze spuszczonej w dół oczyma, szła ku drzwiom, mając na piersiach ręce złożone. Wtém spostrzegła mnie stojącego razem z przełożoną; krzyknęła: „Ach!“ Ja chciałem się do niej zbliżyć, aby ją przywitać, a ta mnie zwolna ręką odpycha, mówiąc:

— Nie wolno do mnie się zbliżać, ja dziś do świata nie należę. Stałam się służką Maryi i pragnę ją naśladować; poznałam prawdziwe światło wiary, w której żyć i umierać pragnę. Tak mi dopomóż Panie Boże w Trójcy św. jedyny i wszyscy Święci. Amen.

Zdziwiłem się tak nagłą odmianą dziewczicy, która, kiedy mnie jednego dnia nie widziała, to z utęsknieniem mnie czekała, wyglądała, wdychała i ciągle była smutną. A teraz takby nagle odmienić się miała? to niepodobna!... Zapytałem ją, coby jej się stało, że mną teraz gardzi i chce zostać zakonnica? może jest zmuszoną lub namówioną od drugich zakonnice? niech pomni na to, że w zakonie są trudne obowiązki, których ona nie zniesie i nie będzie w stanie ich wykonywać; że potem tego będzie żałować, ale już wtenczas będzie za późno. Teraz są tu konie, karetą poczworna, tylko siadaj ze mną, odjeżdżaj, a będziesz szczęśliwą; będziesz panią i żyć we wszelakich wygodach; a tu to będziesz służką przez całe życie i nigdy nie będziesz miała wolnej i swobodnej chwili.

— Mylisz się, mój drogi, ja będę służką Maryi, która mnie kocha i uczyni mnie najszczęśliwszą, bo mi wyjedna Niebo. To krótkie życie jest tylko snem na świecie, z którego gdy się ockniemy, to wszystkie senne marzenia znikają, a człowiek żyć zaczyna i żyje w pracy dzień cały, aż go znowu sen zmorzy, gdy noc nastąpi. Tak też to życie doczesne, które bywa przeplatane różnymi przygodami, słabościami, chorobami i różnymi nieszczęściami; a kiedy tu żył człowiek podług nauki Jezusa Chrystusa i według zasad jego, to gdy mu śmierć zawrze powieki, to on wtedy wstępuje do innego życia, które jest Bożkie, bo nieśmiertelne, a tam żyć

będzie na wieki wieków, gdzie nikt nie choruje, nie zna trosk, ni żadnych nieszczęść, gdyż ciągle widzi Boga w Trójcy jedynego i tę Maryją, którą sobie teraz za Matkę, za Panią i za Orędowniczkę obrałam. Otóż, ażebyś wiedział, co mnie do tego spowodowało, to ci opowiem jak niżej:

— Było to z Piątku na Sobotę, gdyśmy się wszyscy udali na spoczynek; masnęłam snem słodkim i byłam bardzo szczęśliwą. Wtém śni mi się, że przychodzi do mnie pani bogato ubrana, mając wieniec na głowie ze samych gwiazd złożony, które były tak jasne jak małe słońeczka. Pani ta miała małe dzieciątko na ręku, również ładnie i bogato ubrane; była otoczona gronem Aniołów, którym od ramion wznosiły się skrzydła z bardzo delikatnych piór, a suknie ich były z różnokolorowego atlasu. Pani ta rzekła do mnie: Oto ja jestem Maryja, Matka wszystkich pokornych i cnotliwych dziewic. Ufaj mi, córko, a będą ci odpuszczone wszystkie grzechy twoje, ale przyjmij suknię służebnicy mojej. — Wtém naraz wszystko znikło, a ja upadłam na kolana, dziękując Bogu, że mi dał takie widzenie. Ach! jakże ja byłam szczęśliwą, iż widziałam tę Matkę, przez którą się stało dla świata zbawienie! Otóż ten słodki sen był dla mnie w mém życiu najmilszym i najszczęśliwszym, dla tego postanowiłam zostać zakonnica i od tego nie odstąpię nigdy.

Począłem jej znowu czynić różne przedstawienia, że w zakonie tych trudności nie przezwycięży, że jej to wszystko się znudzi; że będzie potem tego bardzo żałowała; że radaby się kiedyś wyrwać ze zakonu, ale już będzie za późno. Na co znowu dała mi taką odpowiedź:

— Ja nie żałowałam opuścić moich rodziców, sióstr moich i całego szczęścia, które mnie czekało; wszystko poświęciłam dla ciebie, a teraz miałabym żałować, że świat utracam na zawsze dla Boga? Wszakże świat, czart i ciało, to są nieprzyjaciele dusz naszych, i miałabym ja tego wroga żałować, że mi jakieś doczesne szczęście obiecuje, ale nie trwałe? Wolę ja pozyskać szczęście prawdziwe, szczęście trwałe. O! nie mój drogi, ja żałować nigdy nie będę, bo ja będę szczęśliwą wiecznie, a teraz za ciebie będę Boga prosić, żes mnie doprowadził do prawdziwej wiary, żes mnie wyrwał z rąk zabobonnych żydów. Będę się modlić, aby ci Bóg błogosławił, dopomagał i dał ci długie życie i czerstwe zdrowie, a do tego, by ci dał inną dziewczicę za towarzyszkę twojego życia. Jam już nie dla ciebie! ja służę Bogu na wieki. Żegnam cię już na zawsze, żyj szczęśliwie! I odeszła... Znikła dla mnie na zawsze; już odtąd ją więcej nie widziałem.

Nie mogłem sobie tego wytłumaczyć, jak mogła dziewczyna, która z miłości wzgardziła rodzicami i rodzeństwem i pozwoliła się wykraść i zamknąć w klasztorze, aby uniknąć ich widoku i prześladowania, taż sama dziewczyna mogła pogardzić tym samym, którego kochała i zamknąć się na wieki w murach klasztornych. Naprzód sądziłem, że zakonnice widziały u niej zabrane z domu klejnoty i pieniądze, bez których nie była, suknie bogate, szale itp., co im było powodem do zatrzymania ją w klasztorze razem z całym bogactwem; musiały namawiać, żeby została zakonnica, żeby opuściła świat, że będzie szczęśliwą na wieki. Potem sądziłem, że i to być mogło, jak sama powiadała, że miała we śnie objawienie, w widzeniu osoby z dzieciątkiem, która ją wzywała do sukni klasztornej, że i to mogło być jej powodem do zmiany dekoracji czyli losu przyszłości: bądź co bądź, już się stało, nie odstanie się więcej, nigdy. Wyszedłem z klasztoru pe-

łen gniewu i rozpaczy, ale na cóż to się przydało! widziałem, że nie było przeznaczenia dla mnie! spełniła się przepowiednia Cyganki, że mi będzie trudno dobrać sobie żony. Kazałem się odwieźć do koszar, przywdziałem mundur i rozpocząłem służbę wojskową; karetę zaraz odesłałem do domu i odpisałem Romańskiemu, że nastąpiła zmiana dekoracji i wszystko skończyło się na niczym. Cały dzień chodziłem bardzo zamyślony i nie mogłem sobie tego wyperswadować, co się to stało. Téjże nocy miałem we śnie widzenie: widzę Rozalią modlącą się przed krzyżem z wyciągniętymi do góry rękoma, lecz krzyż się wznosi do góry i coraz wyżej w powietrze, a ona klęcząc wznosi się za krzyżem, aż nagle wszystko znikło w chmurach i tylko jakieś światło zajaśniało, jakoby z pękniętej racy promień rozsypał się rześisto w powietrzu i wszystko znowu znikło. A ludzie wołać zaczęli: Niebo się otworzyło!

Gdym się przebudził, czułem się zmęczony, wstałem z łoża, ukląknłem i poleciłem ją Bogu. Odtąd poprzestałem już myśleć o niej, a potem zupełnie wyszła mi z pamięci.

Ale wracam do rzeczy. Drugiego dnia po wykradzeniu téjże żydóweczki przyszedłem do domu jój rodziców, niby to na piwo, ale było tylko dla tego, żeby na mnie nie padło podejrzenie, żem ja im córkę wykradł, i gdzieś tam z nią uciekłem. Pokazałem się, że tu jestem i nie wiem o niczym; przyszedłem tak jak zawsze, aby się z nią pobawić i pochodzić po ogrodzie. Słowem, udałem niewinnego baranka. Wchodzę do szynkowni trafiam jedną siostrę, Henryetę, która ma oczy zapłakane. Zapytałem ją, czy czuje się być słabą, że ma twarz i oczy zmieione? Ta mi odpowiada, że ma wielkie smartwienie. Zapytałem, czy może kto z rodziny zachorował lub umarł? Ta mi mówi:

— Dowiesz się pan potem.

Zpytałem: a gdzie jest panna Rozalia, że jój tu nie widzę? Zawsze, gdym tu przychodził, zastałem ją tu, a dziś jój nie ma, czy gdzie wyszła?

Tu dopiéro odezwała się z boleścią:

— Ach! ta niepoczciwa siostra! uciekła w nocy i zabrała wiele drogich rzeczy, bogactwa, klejnotów i pieniędzy. Ona nam nic nie powiedziała, że musiała mieć kogoś, z kim się namówiła i uciekła, a nam zostawiła wstyd i sromotę; ale my ją dostaniemy; nyśmy już kazali wszędzie szukać, a rabin rozesłał guńców do wszystkich kahałów, aby ją złapali. Jój *chusel*, który ją namówił i zabrał ze sobą, gdy go z nią złapią, będzie zabity, a ona będzie tam zamęczoną za to, że splamiła dom rodziców i zesromociła całe rodzeństwo.

Prawdziwie, że zadrzałem na to opowiadanie, gdym sobie pomyślał, że ja stałem się przyczyną tyle smartwienia i nieszczęścia dla całego rodzeństwa; gdy znowu pomyślałem o tym, że to się wyda, co mnie za to będzie czekało... nie tylko kara cielesna i degradacya, ale sześćioletnia niewola w garnizonie i ciężka praca. O! młodości, jakże ty jesteś lekkomyślną, kiedy się puszczasz na takie bezdroża. Jednakże, choć twarz moja przybierała trojaką barwę jako kameleona, udałem, że nie wiem o niczym, i bardzo żałowałem, że jój nie widzę i już więcej jój widzieć nie będę; udawałem bardzo zasmuconego i ręce żałamywałem, niby z okropnej rozpacy. Ale szczerze wyznaję, że mi mrówki chodziły po sumnieniu, gdym wspomniiał na to, że się to może wydać. Panna Henryeta zwracała na to swoją uwagę, że mnie się twarz ciągle

zmieniała, sądziła, że ja tak żałuję jój siostry, że już się nie będę z nią więcej po ogrodzie przechadzał; a mnie się rzeczywiście twarz zmieniała ze strachu, że się to wyda. Jednakże jakoś znikło wszystko na zawsze i wsiąkło w niepamięć, a ja potem zacząłem swobodniej oddychać.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Szarada.

Wśród ludzi masz *pierwszego, drugiego, trzeciego;*
Druga trzecia być może towarzyszką jego,
Drugi czwarty od deszczu i słońca osłania,
Wszystek bywa w salonach — i koniec zadania.

Rozwiązanie Szarady z Nr. 224 „Oświaty.“

I. Ko-ma-ry. II. Ko-re-pe-ty-tor. III. Wo-da.
IV. Flaszeczka.

Pierwszą i trzecią Szaradę odgadł dobrze: Jan Błut z Goczałkowa.

Wzwanie do przedpłaty na książkę:

Pamiętna

NOC LISTOPADA

czyli

Dzieje Wojny narodowej z r. 1830 i 31

wnucom opowiedziane

przez

Żołnierza Czwartaka.

Wydanie Jubileuszowe.

Licząc na stósowny udział, ustanawiamy

Cenę tylko 50 fen.

Kto chce mieć egzemplarz oprawny, dopłaca 10 fen. Kto zamawia 10 egzemplarzy, dostaje te książki franko; kto mniej, ten dopłaca 10 fen. na przesyłkę od każdego egzempl.

Ekspedycya „Gońca Wielkopolskiego.“

Co dopiéro opuściła prasę Część IIga dzieła :

Straszna tajemnica.

Powieść p. Delpot'a,

osnuta na tle najnowszych spekulacyi bankierskich.

Z francuzkiego oryginału przetłómaczona

przez hr. z C. M. . . a.

Cena 2 Marki.

Nie tylko każdemu choremu,

lecz i zdrowym, osobliwie zaś każdemu ojcu rodziny poleca się broszurkę o 112 str. „Wyciąg bezpłatny z Dra Airy metody naturalnego leczenia.“ Richtera ck. nădw. Księgarnia nakładowa w Lipsku (Richter's Verlags-Anstalt in Leipzig) przesyła to ważne i pożyteczne dla cierpiących dziełko na żądanie każdemu bezpłatnie i franco. Tak „Wyciąg bezpłatny“ jakoteż i oryginalne, obficie ilustrowane dzieło o 500 przeszło stron. kosztujące 1 M. = 65 Xr., z przesyłką pocztową 1 M. 20 fen. = 75 Xr. wydane są w języku polskim. To ostatnie dostać można we wszystkich księgarniach, lub sprowadzić wprost z Lipska.